

Powstanie krakowskie 1846, czyli teatr groteski

9 lutego 2023

W historii każdego narodu trafiają się momenty zaszczytne i tehaniebne. Nie brak też zdarzeń zabawnych i komicznych. Historia Polski nie jest tu wyjątkiem, bo też mamy kilka epizodów, które idealnie by pasowały do Cyrku Monty Pythona. Na ten przykład powstanie krakowskie 1846, chyba najbardziej komediowe starcie w całych naszych dziejach.



Dłaczego akurat Kraków?

Nie, żeby mieszkańcy Grodu Kraka wyróżniali się brakiem rozumu czy talentem kabaretowym – co to, to nie. Po prostu Kraków był ostatnim skrawkiem Polski, gdzie jeszcze w połowie XIX wieku uchowały się choćby resztki polskiej samodzielności. Otóż po kongresie wiedeńskim i podziale Księstwa Warszawskiego ustanowiono Wolne Miasto Kraków (formalnie „niepodległe”, w praktyce pod protektorem Austrii i Rosji), bez własnej armii czy dyplomacji, ale za to z polską administracją, sądownictwem i uniwersytetem. Po nieszczęsnym powstaniu listopadowym 1831 (od początku skazanym na porażkę) Królestwo Polskie pozbawiono odrębności i włączone do Cesarstwa Rosyjskiego, a Wielkie Księstwo Poznańskie zaczęło być traktowane jak zwykła pruska prowincja. Kraków jako wolne miasto był ostatnim terenem, gdzie Polacy zachowali choć autonomię. Stąd też niezbyt rozgarnięci spiskowcy uznali go za idealne miejsce do rozpoczęcia ... trójzaborowego powstania.

Z gołymi rękami na trzy potęgi

Ówczesni działacze wyróżniali się mało realnym rozumowaniem (a

i to jest łagodnie powiedziane). Otóż zakładali powstanie we wszystkich trzech zaborach naraz, i to siłami swoich konspiratorów. Gdzie by im się chciało przynajmniej skłócić jednego zaborcę z pozostałymi albo poszukać zagranicznego wsparcia (pomijając już realność takich założeń) – nie, to już było poniżej ich godności. Jednym słowem, kilka tysięcy spiskowców miało poderwać cały naród do walki, i raz-dwa pokonać trzy z czterech największych mocarstw na kontynencie (może jedna Francja mogła się równać z naszymi zaborcami pod względem siły armii lądowej). Jakie miały być nasze atuty w tej walce, delikatnie mówiąc dość nierównej? Ano rewolucjoniści mieli obiecać chłopom wolność i ziemię, a poza tym po naszej stronie miał być sam dobry Bóg (wszak była to ciągle epoka romantyzmu). Dzielni konspiratorzy zapomnieli przy okazji o kilku elementarnych zasadach – nikt jeszcze sam nie wygrał walki na trzy fronty naraz, powstanie bez pomocy z zewnątrz rzadko się udaje, a w warunkach trzech państw policyjnych (opłacających szpiegów i donosicieli) naprawdę ciężko o udany spisek.

Wyróżnić szlachtę – rękami chłopów

Luty 1846 w planach spiskowców miał być krwawym miesiącem. I rzeczywiście się takim okazał, tyle że wcale nie dla zaborców. Otóż mocarstwa rozbiorowe (trzy monarchie absolutne, przypomnijmy) zwęszyły spisek (cóż za niespodzianka ...) i postanowiły uprzedzić wybuch. W zaborze rosyjskim i pruskim doszło do kilku anemicznych wystąpień, po krótkim czasie zakończonych aresztowaniem prowodyrów (jakież zaskoczenie!). W zaborze austriackim władza była jeszcze bardziej cyniczna i poderwała chłopstwo do walki przeciw szlachcie.

Otóż na ziemiach polskich ciągle obowiązywała pańszczyzna (dość brutalnie egzekwowana), za to do chłopów docierały już najróżniejsze zarządzenia cesarskich urzędników. Przeciętny chłop wiedział więc dwie rzeczy – jego bezpośredni „tyran” to miejscowy pan dziedzic, ale jest też ktoś ważniejszy, a to

cesarz z Wiednia i jego podwładni. Dodajmy do tego, że typowy chłop z ówczesnej Galicji to osobnik niepiśmienny. Nie było więc ciężko austriackim urzędnikom podburzyć ciemny lud przeciw jaśnie panom (szczególnie negatywną rolę odegrał tu J. Breinl, ówczesny starosta Tarnowa).

W połowie lutego 1846 w rejonie Tarnowa i Jasła rozpoczęły się krwawe zapusty, czyli rabacja galicyjska. Zbuntowane chłopstwo wyrznęło całe stówki szlachty i dworskich urzędników (łącznie mocno ponad 1 tys. ofiar), jako krwawy herszt wyróżnił się niejaki Jakub Szela. Chłopskie bandy mordowały i rabowały, ku radości cesarskich biurokratów, którzy pozbyli się potencjalnych szlacheckich buntowników cudzymi rękami. Tak oto wyglądał ponury wstęp do komicznego zrywu. (Wspomnieć tu trzeba, że owe chłopskie bandy, okrutne dla panów, co do zasady nie zabijały Żydów. Niezbyt to pasuje do modnych dzisiaj mądrości o „odwiecznym antysemityzmie na polskiej wsi”.)

Dawid na Goliata (ale bez procy)

Tymczasem dzielni rewolucjoniści mimo wszystko postanowili rozpocząć w Krakowie powstanie. Wolne Miasto akurat okupował niewielki austriacki kontyngent, i właśnie przeciw niemu wystąpili spiskowcy. Austriacy postanowili się wycofać (niezbyt daleko, jak się później okazało). Konspiratorzy uznali zaś ten ruch za swój pierwszy sukces – i byli święcie przekonani, że zaraz przyjdą następne.

Chętnych do walki ochotników było w Krakowie kilka tysięcy (a broni starczyło może dla 1/3 z nich). Trudno nie porównać proporcji sił do legendarnego starcia Dawida z Goliatem – tyle że biblijny bohater miał chociaż procę, tzn. przydatne, choć skromne uzbrojenie. Przywódcami ruchu byli natomiast J. Tyssowski i E. Dembowski. Symbolem powstania został ten ostatni – osobnik ok. 25-letni, z doświadczeniem odpowiednim do wieku, nieźle wyrobiony literacko, i bez bladego pojęcia o

wojskowości. W każdym razie dzielni powstańcy zajęli podkrakowską Wieliczkę, położoną już w Austrii (co uznali za kolejny wielki sukces i zapragnęli dalszych). Idąc w stronę Bochni, doszli do Gdowa (ok. 30 km od Krakowa). Tu czekał na nich przeciwnik, w postaci austriackiego wojska i zbuntowanych chłopów.

Straty wroga – dwóch jeńców, ranny koń

Bitwa pod Gdowem 26.02. jako jedyna stoczona w tragi-komicznym powstaniu zasługuje na zwięzłe omówienie. Nie wiadomo, czy zaborców wspomagał sam szatan (pułkownik L. Benedek miał pod rozkazami akurat 666 żołnierzy). Wiadomo natomiast, że lepiej uzbrojony przeciwnik (dowodzony przez zawodowych oficerów) rozgonił spiskowców na cztery wiatry. Wiadomo też, że ponad 100 ujętych powstańców wymordował nie kto inny, jak zbuntowani chłopci, wspomagający Austriaków. Wiadomo też o stratach przeciwnika – było to dwóch jeńców (wziętych przed bitwą do niewoli przez powstańczy patrol i natychmiast po owej bitwie uwolnionych) i jeden koń ranny w nogę. Przypomnijmy w tym miejscu, że nasi dzielni konspiratorzy planowali w tym powstaniu pokonać wszystkich trzech zaborców naraz. Rezultat praktyczny – ów jeden raniony koń – był jednak trochę skromniejszy od ambitnych założeń.

Z procesją na kułe

Wiść o gdowskiej klęsce (i chłopskiej rebelii) doszła szybko do Krakowa, postanowiono więc działać. Działano zaś, jak na romantyków przystało, pospiesznie i bez głowy. Słyszając o dużym pochodzie na Kraków, E. Dembowski uznał, że na miasto maszeruje właśnie zbuntowane chłopstwo. Postanowił więc zagrać na uczuciach religijnych i wyjść mu na spotkanie... w procesji, z krzyżem i sztandarami. Nie przewidział natomiast, że po wygranej bez trudu bitwie, również i Austriacy ruszą na

miasto, odległe o jeden dzień drogi. Nie przewidział i tego, że cesarskie wojsko nie zechce walczyć Słowem Bożym, ale bardziej zwyczajnie – kulami i bagnetem. Nie dziwi więc, że dzień spotkania procesji Dembowskiego z Austriakami (27.02. na podkrakowskim Podgórzu) był ostatnim dniem w życiu tego działacza. Dziwić mogłoby co najwyżej (ale nie w naszym kraju...), że na owym Podgórzu ten sam Dembowski ma dziś ulicę i szkołę swojego imienia.

Więcej szczęścia niż rozumu?

Co było dalej, nietrudno zgadnąć – spiskowcy dostali 2 dni na kapitulację, dyktator Tyssowski zebrał 1,5 tys. powstańców i uszedł za pruską (śląską) granicę, a Kraków jeszcze w tym samym roku został włączony do Austrii (tym skończył się w historii rozdział Wolnego Miasta). Sam Kraków miał jednak „więcej szczęścia niż rozumu”, i to bez żadnej własnej zasługi. Pierwsze kilkanaście lat cesarskich rządów upłynęło pod znakiem policyjnego absolutyzmu, później jednak (po dwóch przegranych wojnach) habsburska monarchia weszła na drogę reform. Nastąpiły po 1860 czasy galicyjskiej autonomii, chłopstwo (uwolnione od pańszczyzny przez cesarza) posłało dzieci do szkół ludowych (akurat w tym zaborze – polskojęzycznych), a Kraków stał się ośrodkiem polskiej kultury i względnej wolności (drugim po Lwowie, też wówczas austriackim).

Gdyby realizm polityczny miał u nas większe wzięcie, to powstanie krakowskie miałoby posłużyć za przestrożę i smutną naukę. Nie należy mianowicie atakować silniejszego przeciwnika, nie dysponując wsparciem z zewnątrz, zasobami własnymi, ani poparciem w terenie. W przeciwnym razie – zamiast pokonania trzech mocarstw – osiągnięcia wojskowe, jak pod Gdowem, kończą się na jednym rannym koniu u wroga (ale straty własne idą w setki wymordowanych).

O ile w zaborze austriackim polskie elity wyciągnęły pewne

wnioski, uprawiając później skuteczną politykę ugodową, a buntując się aż w dobie upadku CK monarchii, o tyle nasze tendencje do samobójczych zrywów niestety pozostały w Polsce żywe jeszcze na długo. Czego dowodem inne powstanie, dużo tragiczniejsze w skutkach i 100 lat późniejsze.

Autorstwo: Michał Wirtel

Źródło: MyslPolska.info